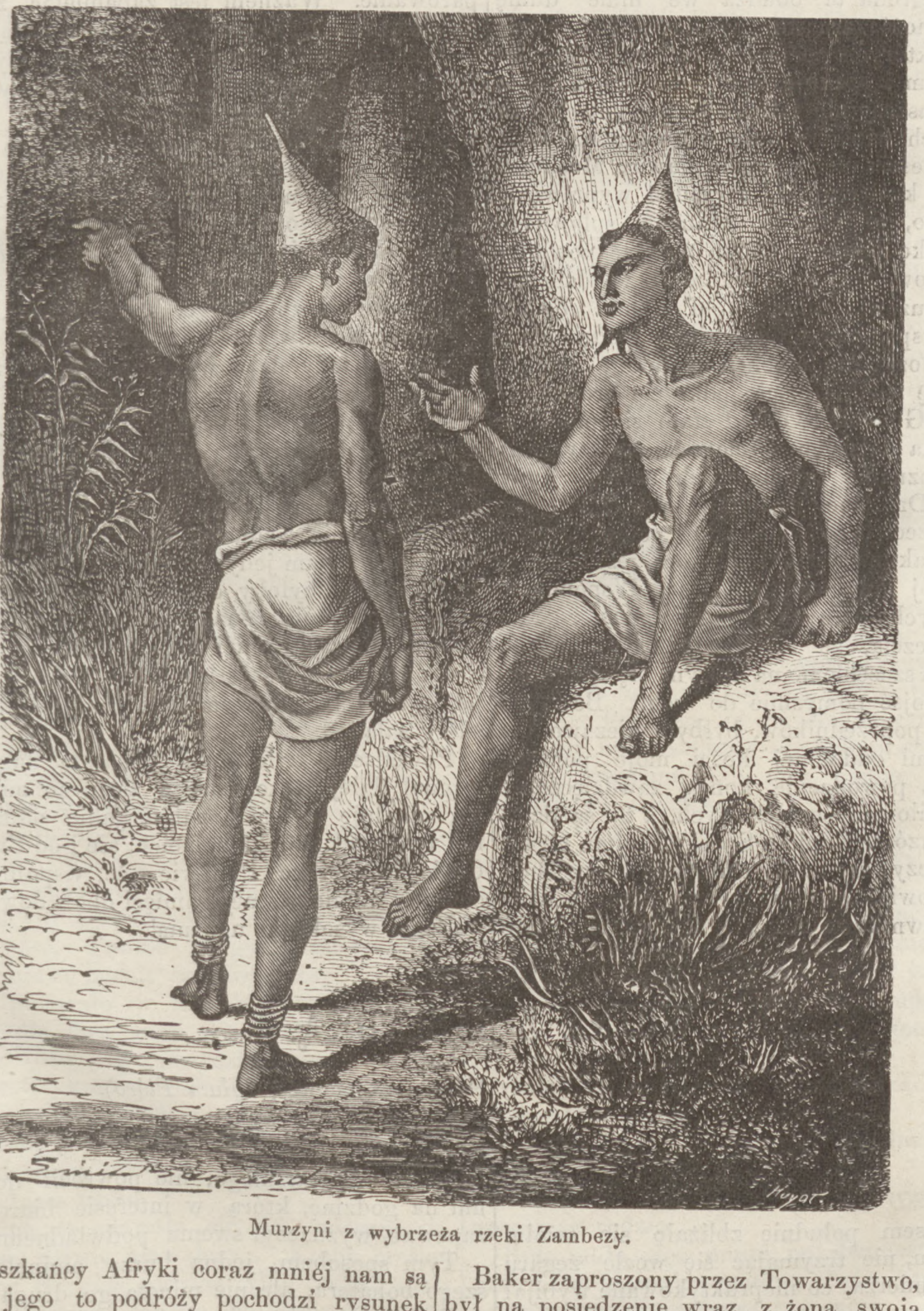
BAKER NA POSIEDZENIU TOWARZYSTWA GEOGRAFICZNEGO W PARYŻU.

Afryka jest przedmiotem ciągłych badań i śmieli podróżnicy coraz to bardziéj uchylają zasłonę, która dla nas kryje te ziemie i obyczaje ich ludów. Wśród tych badaczy Liwingstone ważne zajmuje miejsce; dzięki odbywał drogę do źródeł Nilu (1) dostarczył tyle ważnych danych co do początku brzegu téj rzeki, któréj Egipt wszystko zawdzięcza, że Towarzystwo geograficzne paryskie uczciło go medalem złotym.



Murzyni z wybrzeża rzeki Zambezy.

jemu, mieszkańcy Afryki coraz mniéj nam są obcy. Z jego to podróży pochodzi rysunek który dajemy, dwóch murzynów z wybrzeża rzeki Zambezy. Późniejsze wędrówki Specka i Granta dostarczyły nam także nie mało ciekawych wiadomości, a Baker,-który wraz z żoną

Baker zaproszony przez Towarzystwo, przybył na posiedzenie wraz z żoną, swoją nieodstępną towarzyszką, która wzbudza uwiel-

(1) W poszycie 3-cim Kółka Domowego na rok bieżący, była podana wiadomość o jego podrożach.

bienie francuzów. „Baker powiadają dzienniki tamtéjsze, oddał po odebraniu żonie wielki medal złoty, wręczony mu przez prezesa towarzystwa, a poklask przytomnych towarzyszył mu; oczy wszystkich zwróciły się na piękną, młodę kobietę, która poddała się trudom tak przykréj podróży z całą prostotą przeświadczenia, że pełni tylko obowiązek nie opuszczając męża." Tymczasem Baker na podziękowanie za nagrodę Towarzystwu odezwał się w taki sposób: „Nagroda ta obudza we mnie dumę i wdzięczność zarazem, gdyż pochodzi od was francuzi, których po moich rodakach najwięcéj kocham i szanuję, spotykamy się bowiem nie raz zaszczytnie tak na polach bitwy, jak na drogach wielkich odkryć geograficznych.

Dwadzieścia pięć lat temu sławny Mechmed Ali, wice król egipski, zarządził wyprawę do Gondokoro, to jest do krańców spławnego Nilu, a jako badacz Afryki wyznać powinienem, że powodzenie téj wyprawy zawdzięczamy francuzowi. Imię p. d'Arnaud będzie zawsze wspominane jako imię podróżnika, który położył fundament, na jakim dopiero dokona się wielkie dzieło odkrycia źródeł nilowych. Gondokoro odtąd stało się punktem wyjścia dla dalszych wycieczek, mających na celu rozpoznanie tajemniczych źródeł. Inny francuz Dr Peney zapuścił się daléj, ale śmierć przecięła to życie zasług pełne. Ostatni francuz, jaki zwiedził Gondokoro, jest tu przytomny mój przyjaciel p. Lejean. Wspominam tych zacnych i pełnych odwagi francuzów z tem większą czcią, że ich trudy były niejako pierwszym szczeblem, na którym się opierając, mogłem dojść pomyślnie do celu. Bez tych dzielnych poprzedników, byłbym niezawodnie na téj ziemi oddalonéj kości moje położył. Tak więc, powodzenie końca zawdzięczamy energji usiłowań początkowych, a te są dziełem francuzów. Kapitan Speck, kapitan Grant i ja, połączywszy nasze usiłowania, mogliśmy dopiero dowieść, że Nil wyższy skrapia okolice podrównikowe Afryki, a deszcze, które tam koło 10-u miesięcy padają, wzbogacają wodami swemi dwa wielkie jeziora: *Viktorji*, odkryte przez Specka i Granta i *Alberta*, które ja pierwszy zwiedziłem. Wychodząc z tych dwóch jezior bliźnich, Nil pędzi daléj przez 30 szerokości geograficznéj aż do morza Środziemnego i użyznia Egipt. Obfitość wód jego jest taka, że wychodzi zwycięzko z łożyska pochłaniających go piasków i palącéj atmosfery pustyń Nubijskich, tak ułatwiającéj parowanie. Ważnem jest zapamiętać, że Nil przedstawiał dwa problemata do rozwiązania: tajemnicę źródeł swych i przyczynę wylewu. Pięcioletnie poszukiwania rozjaśniły tę kwestję, 12 miesięcy przypatrując się Nilowi, sprawdziłem, że jeziora podrównikowe są jego żródłem, a wylew powodują wielkie deszcze panujące w dolnym Egipcie. Te deszcze zlewają wody swoje do Nilu błękitnego i do Athary, stają się powodem wzrostu wody na Nilu właściwym, dostarczając mu zarazem tego mułu użyzniającego, którego wielkie nagromadzenie utworzyło Deltę.

Tak się tedy dają wytłomaczyć tajemnice sławnéj rzeki afrykańskiéj: jeziora Wiktorji i Alberta podsycają prąd chlebodajny Egiptu, a rzeki Abissynji dają powód jego wylewom.

Przedsiębiorąc moją trudną podróż nie myślałem bynajmniéj o nagrodzie; nie podtrzymywała mnie żadna pomoc publiczna, ani rządowa. Moim jedynym towarzyszem—i zaiste trudniéj byłoby o szlachetniéj poświeconego—była moja żona, która dzieliła ze mną wszystkie przykrości i niebezpieczeństwa.

Na te słowa wszystkie oczy zwróciły się na panią Baker, a wymowne poklaski wstrząsnęły salą.

Powodzenie było moją pierwszą nagrodą, ciągnął daléj Baker, drugą zarówno mi drogą, znajduję w tem uznaniu, jakie odbieram nie tylko od ziomków moich, ale i od Francji Chciejcie wierzyć Panowie, że wspomnienia cierpień niknie w méj pamięci obok dowodów waszego wysokiego uznania!

WOJNA Z SĄSIADKĄ.

Drobnostka dramatyczna, p. Wolody Skibę, (aut. powieści *Igła i Pióro*).

III.

Tymczasem południe zbliżało się swoim porządkiem, nie trzymając się wcale zegaru pana Kaźmierza, co niepraktykowane wybijał godziny.

Na zegarach miejskich wybiło wpół do dwunastéj, ale pan pisarz magazynu solnego, zatrzymany na mieście i zaciągnięty na śniadanko do Rajtarskiego, nie powrócił do domu na godzinę, którą w interesie biurowym zapewne, wyznaczył swemu podwładnemu.

Tym sposobem jedna burza ominęła naszego bohatera, ale nie minęła go druga.

Panna Brygida mieszkająca na przeciwko pana Kaźmierza, przez ulicę, okno w okno, na żaden sposób doczekać się nie mogła dwunastéj.

Była to osoba w wieku pani Jagodowskiéj może, cobyśmy chętnie sprawdzili, gdybyśmy byli mogli dopytać się gdzie była chrzczoną i metrykę z akt parafjalnych wydobyć,—że jednak poszukiwanie nam się nie powiodło, więc powiemy tylko, że niesłychaną sztuką potrafiła ujmować sobie najmniéj trzecią część wieku, to jest, umiarkowanie licząc, jakie lat piętnaście.

Pragnęła prawda ująć więcéj, lecz sztuka nie sięgała daléj, więc rada nierada musiała wyglądać na trzydziestkę, pomimo blanszu, jakim grubo twarz tynkowała, pomimo różu, którego plastry pokrywały jéj policzki jak blacha żelazna pierś pancernego parowca.

Próżno biedaczka palonym korkiem smarowała brwi, które czarne jak węgiel, rażąco odbijały od jéj blond włosów, próżną tynkturą jakąś napuszczała kąciki oczu małych i szarych, ażeby dodać im blasku, próżno sznurówką krępowała kibić, nogi więziła w trzewikach, które za każdym jéj stąpnięciem były w niebezpieczeństwie rozsadzenia, próżno się stroiła jak jéj tylko mogło na to wystarczyć pieniędzy, jakiemy ją zasilali krewni bliżsi i dalsi, po większéj części dosyć zamożni rzemieślnicy, których stanowiska społecznego, mówiąc nawiasem, przez samą wdzięczność dla nich zapewne, wstydzić się czuła w obowiązku. Wszystko to było nadaremne. Młodszą nad lat trzydzieści zrobić się nie mogła, ani podrobioną trzydziestką nie miała jakoś szczęścia zwabić konkurenta.

To też gdy odebrała list pana Kaźmierza z dwoma bukietami, wprawdzie już bardzo przywiędłemi, i fotografją, wprawdzie gdzie niegdzie pokrytą jeszcze resztkami klajstru, którym panna Tekla przyklejała je na szybie, panna Brygida nie posiadała się z radości, i niezważając bynajmniéj, że niektóre wyrażenia listu do niéj z trudnością zastosować by się dały, odpisała natychmiast, wyznaczając pięknemu sąsiadowi schadzkę pod windą.

Do chwili téj schadzki czekać było potrzeba godzin parę. Pannie Brygidzie zdawało się, że tego czasu będzie zaledwie dosyć na ubranie się, pokazało się jednak przeciwnie. Chociaż kładła dwa razy więcéj blanszu, trzy razy tyle różu, jak zazwyczaj, chociaż się wystroiła czterykroć paradniéj jak w najuroczystsze święto, ukończyła przecież swą tualetę tak szybko, jak nigdy.

O jedenastéj już była gotową, pozostawała więc godzina czasu.

Godzina ta zdawała się jéj wiecznością, czemu się dziwić nie należy... Ktoby myślał, że panna Brygida godzinę tylko czekać miała na tę schadzkę, ten by się bardzo pomylił. Czekała ona na nią lat czterdzieści pięć całe, jeżeli nie więcéj, cóż więc nadzwyczajnego, że jéj się czas dłużył?...

Trzeba przyznać na jéj zaletę, że na przeczekanie całéj połowy téj godziny wystarczyło jéj cierpliwości.

O wpół do dwunastéj przecież uznała, że dłużéj ociągać się nie wypada.

— On niezawodnie przyjdzie przed dwunastą, — pomyślała, — nie trzeba mu dawać czekać.

W téj myśli poszła pod windę.

Panna Brygida, — należy i to wiedzieć,— była nietylko bezwzględną hołdowniczką wszystkich śmieszności mody, do jakich jéj niezbyt zasobna kieszeń stosować się dozwalała, lecz nadto była ona zapamiętałą wszelkich pachnideł i aromatycznych specyfików zwolenniczką. Gdzie przeszła pozostawała po niéj woń przypominająca sklep fryzjerski. Była zdrową, to się pachniła wszelkiemi płynnemi i suchemi pachnidłami, od wody kolońskiéj do różanego olejku i paczuli; chorowała, to się nakadzała wszelkiemi wonnościami od popularnéj trociczki do królewskiego kadzidła i leczyła wszelkiemi w nosie kręcącemi lekami od pastylków miętowych aż do anodynów. Ztąd też pan Kaźmierz nazwał ją parę razy pachnącą dziewicą, bo wiatr dość często gdy otworzył okno przynosił mu z przeciwka wyszukane wonie.

Różne ingredjencje pachnące nigdy nie odstępowały panny Brygidy, lecz wychodząc na *rendez-vous* pod windę, wzięła ich z sobą najmniéj dziesięć razy więcéj niż zwykle. Flakoniki, flaszki i butelki całe z płynami, mieściły się w woreczku który niosła w ręku. Torebka pastylków miętowych wysuwała rożek z kieszeni, anodyny od przewidywanego zemdlenia kryły się za gorsem, słowem, nigdy powietrze nadwiślańskie nie było przepełnione tylą wonnościami jak gdy panna Brygida przybyła na schadzkę.

Tam czas nie biegł jéj prędzéj. Druga połowa godziny była owszem jeszcze dłuższa niż pierwsza.

Jakkolwiek jednak długo czekać trzeba było nim ubiegnie, upłynęła nareszcie.

Gdy zegar święto-krzyski zaczął bić dwunastą, a echo odgłos jego pod windę przyniosło, panna Brygida powąchała anodyn, bo jéj się zdało że zemdleje.

— Spóźnia się!... każe mi czekać!... niewdzięczny!... jęknęła z boleścią.

Minuta ledwie upłynęła od téj chwili, a już panna Brygida powiedziała sobie:

— Kwandras czekam!... o mężczyzni!... jaszczurczy rodzie.

Było może pięć minut po dwunastéj, gdy pachnąca dziewica gotową była przysiądz, że co najmniéj pierwsza być musi.

Wąchała ciągle anodynów.

Wreszcie nie mogła dłużéj czekać. Zaczęła wierzyć w swe nieszczęście.

Bała się zachorować na ulicy i powolnym krokiem zaczęła wracać do domu, co chwila oglądając się na windę.

Wkrótce winda znikła z jéj oczu, a ukazało się przed niemi mieszkanie pana Kaźmierza.

— A gdybym poszła do niego?—przyszło jéj na myśl.

Zrazu odepchnęła ten projekt.

— Nieprzyzwoicie!... do mężczyzny! — myślała.

Ale wkrótce pokonała ten skrupuł.

— Pójdę, doprawdy pójdę,—zdecydowała się nareszcie, — zamówię się o cokolwiek... Przecież mnie nie zje, a dowiem się czemu nie przyszedł... Może zachorował nagle.

Taka decyzja i obawa o zdrowie pana Kaźmierza dodały jéj skrzydeł. Anodyny już niepotrzebne znikły za gorsem; w mgnieniu oka była na pierwszem piętrze.

Gdy ręka jéj dotykała się klamki, w piersiach jéj dygotało jak w wiatraku.

Było to właśnie w chwili, kiedy bohater nasz postawił przed sobą kurę i butelkę, nalał sobie wina do szklanki i miał ponieść do ust pierwszy kęs niespodzianie znalezionego w szafie śniadania.

— Czy tu mieszka pani Jagodowska,— ozwał się nieśmiały głos za nim,—chciałabym żelazka pożyczyć....

Pan Kaźmierz położył widelec, obejrzał się, wymówił „tutaj" wstał od stołu i niewiadomo coby był daléj powiedział, w niemałem pomięszaniu poznając pannę Brygidę, gdyby mu w nosie nie zakręciła woń przychodzących z nią pachnideł.

Kichnął więc tylko, stał, i myślał:

— A to aromatyczna osoba!... aż mi w nosie kręci!...

Panna Brygida przez chwilę nie mogła także wymówić słowa.

Rozmawiali z sobą spojrzeniami. W jéj oczach był ciężki wyrzut, w jego oczach było wielkie zdziwienie.

— A! pan jesz śniadanie... o dwunastéj!... panie sąsiedzie,—odezwała się nareszcie panna Brygida, naciskiem głosu na wyrazach: «o dwunastéj" wymawiając mu niepunktualność.

— Przeciwnie pani,—tłomaczył się nasz bohater,—o dwunastéj, to jest przed godziną, byłem pod windą... ale pani nie było... Przytem nie wiem...

— Przed godziną,—przerwała panna Brygida,—przed godziną!... Ah! to pański zegar źle idzie... Bodajby tu zegar był winien... Takbym panu rada.... wybaczyć.

Po tem wyznaniu swéj chęci przebaczenia, panna Brygida, skromniutko spuściła oczy.

— W istocie pani mój zegar...

— Ah prawda... już na nim pierwsza blisko... źle idzie!... popsuty!... co za szczęście,—zawołała panna Brygida padając na krzesło.

Przekonywając się o niewinności Kaźmierza, doznała tak wielkiego wzruszenia, że się musiała uciec znów do anodynów.

— A to wyborne! mdleje z radości, że mój zegar popsuty, — pomyślał pan Kaźmierz.— Panno Brygido,—dodał głośno,—pani słabo.

— To nic... mdłości... anodyny rozpędzą... to zaraz przejdzie,—odpowiedziała pachnąca dziewica,—więc pan tam byłeś... to tylko zegar winien... oh! jakżem szczęśliwa... jak ja pana posądzałam niesłusznie!...

— Mogę sobie oddać tę sprawiedliwość,— rzekł na to pan Kaźmierz, — że z całą gotowością spieszyłem na wezwanie pani, jakkolwiek jego powód nie wytłomaczony.....

— O! panie Kaźmierzu,—przerwała panna Brygida,—nie potrzebujesz pan wcale tłomaczyć się z powodu. Ja go życzliwem sercem z jakiem jestem dla pana wytłómaczyłam sobie jak najlepiéj....

— Co ona gada?—myślał nasz bohater.

— Wyznam panu nawet, — ciągnęła daléj lokatorka z przeciwka,—że od pewnego czasu spodziewałam się tego po panu...

— Przepraszam panią, ale czego?...

— Chęci zabrania ze mną znajomości.

— To prawda, że znajomość jest dla mnie przyjemną i zaszczytną,—odrzekł pan Kaźmierz, kłamiąc poczciwie, bo w myśli jego te wyrazy znaczyły: „zwarjowała oczywiście i basta,"—nigdybym jednak się nie ośmielił...

— Ja też i to wiedziałam,—przerwała znowu panna Brigida,—nieśmiałość jest podobno zaletą, ale gdy zbyteczna to szkodzi... Mężczyzna powinien być zawsze choć trochę obcesowym... Ot, jak pan dzisiaj... to mu do twarzy... kobiety to lubią... Tylko ja panu o tem mówię w zaufaniu...

— Niezmierniem wdzięczny i za komplement i za zaufanie,—odrzekł grzecznie pan Kaźmierz,—choć przyznam się, że niebardzo rozumiem...

— Jeszcze pan nie rozumiesz!... to dziwne!... Ja mówię, że gdy się przed kim, naprzykład przed osobą jak ja, chce otworzyć swoje serce, to choć się jest skromnym i nieśmiałym nie trzeba przecież kazać się ciągnąć za język... Wszak powiedziałam jasno?... Jestem zawsze szczerą... Mów pan, co pan myślałeś, a będę słuchała, tem bardziéj, że się już połowy domyślam.

Pan Kaźmierz zrobił ogromne oczy.

— Co pani?—rzekł zdumiony.

— Więcéj powiem, niżbym powinna, kiedy aż tyle do ośmielenia pana potrzeba... Miéj pan nadzieję, że jego wyznanie trafi na serce współczujące i sympatyczne...

Bohater nasz przez chwilę szukał odpowiedzi, panna Brygida ręką macała woreczek, ażeby mieć na pogotowiu flaszeczkę, jakiéj

użyć będzie w potrzebie, gdy słowo „Kocham” usłyszy.

— Kiedy więc pani jesteś tak dobrą—zaczął nasz bohater, — chciéj przyjąć sercem współczującem i sympatycznem wyznanie...

Panna Brygida niosła już flakonik do nosa.

— Że z całéj pani rozmowy,—kończył nasz bohater, — z jéj listu, z wyznaczenia mi schadzki pod windą i z wizyty, jaką mam szczęście odbierać, nie rozumiem ani jednego wyrazu, ani jednéj literki, ani jednéj kropki nad *i*.

— Co?... co?... pan żartujesz.

— Nie żartuję bynajmniéj pani.

— Pan nie rozumiesz tego, żeś mi przysłał dwa bukiety?...

— Owszem pani, rozumiem bardzo dobrze, że jakkolwiek pani jesteś godną nietylko dwóch bukietów, lecz całego kosza kwiatów, ja przecież... moja wina... nie posłałem pani ani jednego listka mięty pieprzowéj.

— Pan się wypierasz?

— Nigdy w życiu nie wypierałem się żadnéj z moich czynności.

— I powiesz pan, żeś mi nie przysłał swéj fotografji?... żeś do mnie nie pisał listu?...

— Ani żadnéj rzeczy, która jego jest... nie pisałem i nie posłałem.

— A jeżeli ja mam te rzeczy w ręku?...

— W takim razie nie przyznaje się do nich... może są złudzeniem optycznem.

— Więc po cóżeś pan chodził pod windę?...

— A żeby się dowiedzieć co pani mogłaś chcieć odemnie.

— To straszne!... o młodzieży dziewiętnastego wieku!... zdrajco!... niewdzięczniku!...

Panna Brygida dobita strasznym ciosem, jaki ją spotkał, zemdlała.

Urzędnik magazynu solnego z łatwością jednak przyprowadził ją do zmysłów zapomocą kilku skropień, które w braku innéj wody zaczął odbywać limonadą.

Skropienia te okazały się niebezpiecznemi dla kosmetyków grubemi warstwami pokrywających lica pachniącéj dziewicy, ocuciła się więc natychmiast.

— Jedno słowo panie Kaźmierzu,—rzekła przyszedłszy do przytomności,—pan masz zamiar prosić o moją rękę?...

— Bynajmniéj pani.

— Lecz pan nie odmówisz, gdy panu ją ofiaruję sama?...

— Wstrzymaj pani lepiéj ofiarę, nie radzę jéj ryzykować.

Panna Brygida zaczęła się unosić.

— Ależ to dla mnie kompromitacja!—wołała,—pan narażasz moją reputacją... czyhasz na mój honor... Pisałeś pan do mnie list!... nie pisuje się listów romansowych do młodych panien, kiedy się nie ma zamiaru żenić... przysłałeś mi pan dwa bukiety... cóż to znaczy?... jak pan się możesz tego wyprzeć?... złożyłeś mi pan swoją fotografją... to więcéj niż zobowiązanie formalne...

— A to jéj ktoś przewrócił w głowie,— myślał pan Kaźmierz,—tegom tylko pewny, że nie ja.

— Ja panu nie ustąpię,—zakończyła panna Brygida,—musisz się pan żenić...

— O! co z tego to nic nie będzie,—rzekł do siebie nasz bohater.

— Nie będziesz pan chciał mieć na sumieniu łez niewinnéj dziewczyny... która tylko ufnością w charakter pański zgrzeszyła...

— Ha! cóż robić,—odparł pan Kaźmierz,— jest tylko jeden sposób, żebym łez pani nie miał na sumieniu.

— Ożenić się ze mną?... nieprawdaż?...

— Nie pani... jeżeli to w pani mocy... nie płakać!

— Szydzisz pan!—wrzasnęła, dotknięta do żywego panna Brygida,—myślisz pan, żeś na gąskę natrafił?... Ja panu nie ustąpię, powiadam!...

— Ha! jeśli pani nie ustąpi,—odrzekł pan Kaźmierz,—to ja ustąpić będę musiał. Żegnam panią.

I ukłoniwszy się grzecznie wyszedł szybko z swego mieszkania.

Tym sposobem panna Brygida, tak przed chwilą pełna błogich nadziei, pozostała sama z swojem nieszczęściem.

— Żmija!... padalec!... bazyliszek!... — myślała, wąchając pachnidła,—wyparł się... zdradził... uciekł!... Głowa mi pęknie... serce się krwią zaleje... umrę z tego!...

Ukryła twarz w chustce i gorzkiemi łzami płakała.

Odpłynięcie pierwszego przyboru łez ulżyło jéj cokolwiek. Odjąwszy chustkę od oczu była już nieco spokojniejsza i trochę bledsza, bo część kosmetyków się starła.

Wzdychała jednak ciężko i błędnym wzrokiem wodziła do koła.

— Oszukał mnie biedną dziewczynę... kłamał miłość!... Zdawał się taki delikatny, a to szatan wcielony... Jakich manewrów używał, żeby mi w głowie przewrócić!... Na ulicy rumienił się gdy mnie zobaczył, a kłaniał się tak grzecznie.... Przez okno wyglądał często, żeby spojrzeć w moje... Udawał nawet, że karmi wróble, ot poprostu żebym myślała, że on ma takie dobre serce... Bałamucił mnie tylko, a jam mu ufała. To krokodyl nie człowiek! Gdybym go miała w ręku jak tę rękawiczkę, to bym z nim tak samo zrobiła.

W przystępie złości panna Brygida obeszła się z rękawiczką w taki sposób, że pan Kaźmierz mógł tylko powinszować sobie, że nie znajdował się na jéj miejscu.

— Tak!... gdybym mogła, tobym go struła,—

myślała daléj, — za to że zatruł moją młodość... A! co za człowiek bez sumienia!... i kiedym przyszła jadł sobie najspokojniéj śniadanie.... Nie! to za wiele... pomszczę się na nim choć w ten sposób, że tego śniadania nie strawi... Pulardy sobie będzie zajadał i wino zapijał taki zdrajca... proszę, proszę!...

Rozgniewana dziewica otworzyła woreczek, w którym nosiła swoje pachnidła, i zaczęła z niego dobywać jedne po drugich flaszki i flaszeczki.

— Sławna na całym świecie Liljoneza,— czytała z etykiety,—przywracająca piękność i młodość... dobrze... niech mu przywróci jak mnie przywróciła.

I cała flaszka Liljonezy wlaną została do butelki wina.

Po Liljonezie poszły inne specyfiki.

— Woda anaterynowa do ust... dobra będzie z tą szklanką wina... A to co?—rzekła dobywając innéj flaszeczki,—olejek do włosów... skropię nim tę pulardkę... niech się struje łakotniś!... Balsam od piegów... i to pójdzie do wina... *Mille fleurs*... wyborny do kuraka... A! tu mam jeszcze anodyny Hoffmanna... niech pije wino z anodynami Hoffmanna!...

Przyprawiwszy w ten sposób śniadanie swego niedoszłego konkurenta panna Brygida odetchnęła.

— Pomściłam się... Teraz pójdę do domu... Myślicie państwo, że będę płakała?... Otóż nie będę... nie będę... nie będę!...

Temu powtarzanemu zapewnieniu towarzyszyły tłumione łkania.

— Będę się mściła nad nim i nad całym rodem męzkim za tę ohydną zdradę... Tak! mścić się będę... strasznie!... Drżyjcie mężczyzni przed zemstą panny Brygidy!...

Powróciwszy jednak do domu panna Brygida nie odrazu zabrała się do obmyślania planów dalszéj zemsty...

Łzy, których się tak zarzekała, dwoma obfitemi strumieniami puściły się z jéj oczu.

W kwandrans dopiero utulić się zdołała i na pociechę wzięła bukiety pana Kaźmierza i rwać zaczęła na kawałeczki każdy kwiatek, każdy listek.

Potem to samo zrobiła z fotografją... potem z listem...

Podczas tego zajęcia lżéj się jéj robiło na sercu.

(Dokończenie nastąpi).

POGADANKI NAUKOWE.

Wydobywanie węgla — Robotnicy w kopalniach — Paliwo przyszłości.

(Dokończenie).

Teraz przystąpmy do najbardziéj zajmującéj historji węgla t. j. do jego wydobywania. Oddawna znają go Chińczycy i używają do wypalania swéj sławnéj porcelany, w niektórych nawet kopalniach zbierali tworzący się w nich gaz palny i używali go do ogrzewania i oświecania, ale w rzecach przemysłu Chińczycy pozostali zawsze Chińczykami t. j. że nie zrobili nic śmiałego, nic na wielką skalę, coby dawało chlubne swiadectwo genjuszowi ludzkiemu. Zostawmy ich tedy, a idźmy daléj. Grecy znali także węgiel kamienny. Teofrast, ulubiony uczeń Arystotelesa, w swoim *Traktacie o kamieniach*, wspomina o nim pod nazwą lith-antrax, i ten wyraz został w języku włoskim. Użycie jednak jego było bardzo ograniczone, czasami tylko używali go kowale w braku drzewa. Rzymianie jeszcze mniéj się nim zajmowali, w czasie robót hidraulicznych nie raz im się zdarzyło przerzynać bogate pokłady węgla, ale nie zwracali na nie uwagi, mieli go za kamień bitumiczny i nic więcéj, a mając tyle drzewa, nie troszczyli się o żadne inne paliwo. W średnich wiekach spotykamy to samo lekceważenie węgla, zakazują go nawet po miastach i we Francji skazują na karę pieniężną lub więzienia kowali, co go używać śmieją; to samo widzimy w Londynie: zupełny zakaz używania paliwa kopalnego w obrębie miasta. Dopiero w XVIII w. zachodzi zupełnie co innego. W Paryżu drzewo zaczyna być już tak drogie, jak teraz, poszukują więc oszczędniejszych sposobów ogrzewania. Statki ładowne węglem przybywają Sekwaną do Paryża, miasto radzi się Akademji nauk i medycznéj, czy może go użyć i rzecz rzadka! na nowoprzybyłego przychylny zapada wyrok. Mimo to publiczność krzywem okiem na węgiel patrzy— robią mu tysiące niesłusznych zarzutów, że psuje powietrze, że żółci bieliznę, nawet w szafach, że staje się przyczyną chorób piersiowych, a nadewszystko, że psuje świeżość płci niewieściéj. Przypatrzmy się teraz co się dzieje w sto lat potem tak w Paryżu jak w Londynie... W pierwszem z tych miast wypalają go milion kilogramów, w drugiem zaś sześć miljonów! Cóż więc wpłynęło na tę ważdą zmianę? Dwa wydarzenia w świecie ekonomicznym, tak wielkie, jakich dotąd

nie było w społeczeństwie: wynalazek machiny parowéj i wynalazek lokomotywy! Tu dopiero występuje w całem świetle rola, jaką odgrywa w społeczeństwie to paliwo kopalne i tu się zaczyna prawdziwa jego historja.

Można powiedzieć, że węgiel kamienny dał początek machinie parowéj, a to się stało w sposób następujący: W kopalniach explactowanych na wielką skalę w hrabstwie Newcastle, w początkach XVIII wieku, nastąpiło wielkie wylanie wód. Napróżno wprawiono w ruch wszystkie pompy, woda występowała coraz wyżéj. Wtedy trzech robotników: Savery, Newcomen i Watt, po różnych próbach, dochodzi do wynalezienia pompy działającéj za pomocą ognia, t. j. machiny parowéj. Pierwszym pomysłem było, żeby para naciskała na wodę i zmuszała ją do wzniesienia się, potem, żeby wprawiała w ruch pompy, mające wyczerpywać wodę. Tych więc trzech Anglików można niezaprzecznie uważać za wynalazców machiny parowéj. Od tego dnia naznaczyć należy wielki postęp umysłu ludzkiego; praca machiny zastąpiła pracę niewolnika. Jest ona we wszystkich warsztatach, robi wszystko: piłuje, szlifuje, obraca, słowem nie ma prawie tego, czego by robić nie mogła. Cóż to za zdobycz ogromna! Oko, głowa robotnika pozostają wolne, machina jest niewolnikiem i pracuje pod jego kierunkiem. Arystoteles przeczuł tę chwilę, kiedy powiedział, że nie będzie już niewolników wtedy, kiedy wrzeciona i łódka tkacza będą się same ruszały. A więc dzisiaj tak się stało. Niezapominajmy zatem, żeśmy to świetne zwycięztwo winni kawałkowi węgla. Nie ograniczyło się ono na tem tylko, nie wystarczyło bowiem wydobywanie węgla z kopalń, potrzeba było go przenosić w dalekie okolice i w najtańszy sposób; to dało początek kolejom żelaznym. W tym samym kraju, Wallji, gdzie się zrodziła machina parowa, zaczęto szukać oszczędnego sposobu przewożenia węgli i wynaleziono szyny z drzewa, po których obracały się łatwiéj wózki. To więc ułatwiło większą wywózkę i zrobiło ją mniéj kosztowną. Lecz drzewo zaczęło gnić, zastąpiono je więc szynami z lanego żelaza, ale wklęsłemi, te zaś pokazały się znów niepraktycznemi, gdyż je błoto zapełniało. Wpadnięto więc na pomysł dzisiejszych szyn, czyli prawdziwéj kolei żelaznéj. Lecz na tych kolejach obracały się jeszcze wózki ciągnione przez konie, zaczęto tedy szukać stosownego sposobu przewożenia. Jeden Walijczyk wynajduje rodzaj wozu poruszanego machiną parową, ale nadaje mu koła zębate, które utrudniają pochód. Zarzucono więc te wozy, lecz pomysł ich nie zaginął. Zjawia się Stephenson, ten, rzec można, ojciec pośpiesznych kolei żelaznych, obok niego staje Francuz, Marek Seguin. Ci we dwóch tworzą dzisiejszą lokomotywę. Przed nią upadają wszystkie zapory fikcyjne, czy rzeczywiste, jakie dzielą ludy, upadają ich wzajemne nienawiści. Jeżeli kiedy wojna zniknie z kuli ziemskiéj, a ufajmy, że tak będzie kiedyś, jakkolwiek dzień ten nie zdaje się być blizkim, będziemy to winni lokomotywie, czyli raczéj węglowi kamiennemu, a więc jego historja ma prawo stanąć obok historji społeczeństw.

Pomówmy teraz o górnikach, którzy dla wydobycia węgla zapuszczają się w głąb ziemi 500 do 600 metrów. Zaiste ci pijonierzy przepaści, zasługują na bliższe rozpatrzenie. Bardzo często wojska lądowe i morskie pokazują się publiczności, świetne, wystrojone, wraz z bronią niszczącą, którą noszą. Odbądźmyż teraz przegląd żołnierza pokoju, górnika, który produkuje wtedy, kiedy tamci niszczą, który tworzy wtedy, kiedy tamci burzą, pokażmy tego żołnierza w walce z nieprzyjaciołmi stokroć straszniejszemi i niebezpieczniejszemi od tych, jakich się spotyka na placu boju. Tu bowiem widzi się przed sobą pociski, ale w podziemiach, gdzie zaledwie oko rozejrzeć się może, explozje gazu, zawalenia, woda, zabijają górnika wtedy, kiedy jeszcze nie domyślał się niebezpieczeństwa. Mimo takiego narażenia, górnik jest zawsze na swojem miejscu i pełni swą powinność, nie podtrzymuje go nadzieja jakiejś honorowéj nagrody, lub szybkiego awansu, jest górnikiem i nim pozostaje. O nim nie można powiedzieć, że nosi marszałkowską laskę w swoim tornistrze, że patent na inżyniera kryje się w głębi jego lampki, on wie dobrze, że jeżeli nie ma wymaganego wykształcenia, nie pójdzie na wyższe stopnie, a jednak śmiało czoło stawia niebezpieczeństwu, mając za całą nagrodę chléb dla żony i dzieci. Nieprzyjaciół górnika można by tak uszykować jak niegdyś dzielono żywioły, na ziemię, ogień, wodę i powietrze. Ziemia bowiem zawala się na niego, ogień go ściga w czasie raptownych pożarów kopalni, powietrze go prześladuje w niespodzianych wybuchach tego strasznego gazu, który zwą węglowodorem. Tak tedy, ziemia, ogień, powietrze i woda sprzysięgły się na tego żołnierza podziemi. Wszystkim nam zdarzyło się czytać o licznych wypadkach w kopalniach. Z ostatnich przytoczymy wypadek z Barnsley, gdzie 3 wybuchy szybko po sobie następujące, więcéj niż 400 górników pozbawiły życia. Jeden tylko ocalał, czekając 27 godzin zanim spuszczono linę dla wydobycia go. Wychodząc musiał stąpać po trupach swych towarzyszy na wpół zwęglonych, Ciała te były tak mocno zmienione, że po wydobyciu, rodziny rozpoznać ich nie mogły. Biedne matki poznawały po guzikach od kurtek dzieci swoje, które na nieszczęście przed samym wybuchem

zeszły do kopalń. W tych strasznych katastrofach, wszystko postępuje tak szybko jak wystrzał armatni. Ludzie odrazu wywróceni i spaleni, wszystkie zapory przełamane otwierają drogę wodzie, która w jednéj chwili wraz z odłamkami pokładów, wypełnia chodniki kute z takim trudem. Powietrze od razu jest zepsute i robotnik, który zdoła uciekać, jest zwykle zaduszony nim dojdzie do celu. Wyobraźmy sobie teraz, jakie straszne zniszczenie zrządza woda w tych wązkich galerjach, gdzie robotnicy nie mogąc nic przewidzieć, nie mają czasu uciekać. Roku 1862, w jednéj z kopalń francuzkich od takiego zalewu 300 robotników postradało życie. Trąba powietrzna przechodziła po nad temi kopalniami, ziemia się rozpękła i dała przystęp wodom. Czterech czy pięciu górników zdołało uciec, jeden z nich odważny nad wszystkich każe się przywiązać do liny i spuścić na powrót do kopalń, gdzie mu się udało ocalić młodego człowieka, któryby był zginął niechybnie. Chce jeszcze wrócić, ale już zapóźno, woda zalewa wszystko. Wtedy rozpoczyna się olbrzymia praca, praca poświęcenia, jakiego przykłady często w kopalniach spotkać można. Inżynierzy robią plany, zbierają się robotnicy i zaczynają robić nowe galerje, ażeby dojść



Wybuch w kopalniach węgla.

do nieszczęśliwych, którzy może jeszcze zostali przy życiu. W trzy dni zrobiono robotę całego miesiąca, mieniając się przez dzień i noc. Zdołano jednak zaledwie ocalić kilku ludzi, którzy się schronili na wierzchołek jakiegoś odłamu, a woda otaczała ich zewsząd tak jak w dzwonie nurka. Opowiadali, że mogli zaledwie wymówić kilka słów a słyszeli doskonale najodleglejszy hałas. Odgłos jaki wydawał wentylator, którym wpuszczano powietrze do nowéj galerji wprowadził ich w mniemanie, że nowe wody napływają. Wyobraźmy sobie, jak się przelękli. Jeden z nich zesunął się przypadkiem i utonął. Pozostali tak przez dni 13 bez światła, bez pożywienia. Zjedli jakieś szczątki drzewa, które było przy nich, a późniéj na pamiątkę zachowano pasek jednego z nich, który był zjedzony do połowy.

Widzimy więc, że oni zasługują na nazwę dzielnych żołnierzy podziemia. Nie oddając się nigdy zwątpieniu i rozpaczy, wytrwali, cierpliwi i odważni, godni są zaiste stanąć obok żołnierza lądowego.

Tak tedy, to paliwo mineralne, ten prawdziwy czarny djament, coraz bardziéj jest pożądany. Wszędzie zastąpił drzewo i znajduje się wszędzie w takiéj ilości, że wyrachowano, że chociażby cała Europa pokryta była lasami, zaledwie by one wystarczyły na zastąpienie węgla zużywanego teraz corocznie. Wydobywa go się bowiem 1,800,000 kilogramów, przytem exploatacja jego rośnie tak, jak kapitał umieszczony na procent składany, dwoi się bowiem co lat 15, i ten fenomen powtarza się wszędzie. W Anglji, Prusach, Francji, Belgji, wydobywają dziś dwa razy tyle węgla co przed laty 15-u. W Stanach Zjednoczonych idzie to jeszcze spieszniéj; tam to badając mappę kopalń węgli widzimy największe zapasy, kopalnie przyszłości, że tak powiemy. A teraz zastanówmy się, co się stanie w obec tego fenomenu, który dotąd wzrasta i wzrastać będzie, wszędzie bowiem tworzą się nowe koleje, nowe fabryki, nowe linje kommunikacji wodnych. Wojna także nie mało pożera węgla, obecnie bowiem wszystkie fabryki zajęte są wyrabianiem karabinów igiełkowych i przy tem się massa węgla spożywa. Nastręcza się tedy pytanie, czy pokłady węgla są niewyczerpane, czy też przeciwnie, a jeżeli się wyczerpią jakie paliwo po nich znajdziemy? Otóż na pierwsze pytanie już jest gotowa odpowiedź. Nie tylko, że kopalnie węgla nie są niewyczerpane, ale można obliczyć, że nie jest daleką ta chwila, w któréj ich nie stanie. Lat temu 15 lub 20, ludzie nauki wyrażali zdanie, że węgla w Anglji, Prussach, Francji i Belgji starczy jeszcze na jakie parę tysięcy lat, lecz dziś, uważając że się ciągle dwoi ilość zużytkowania, przypuścić można, że ich zaledwie na 200 lub 300 lat wystarczy. W Anglji ludzie trzech wielkich naukowych imion Armstrong, Murchison i Hull obliczyli możność korzystania z kopalń węgla na 2 lub 3 wieki. Przerażono się, bo Anglja pomyślność swoją handlową, przemysłową, a można powiedzieć że i polityczną zawdzięcza węglowi. Wysłano tedy inżynierów dla obliczenia przypuszczalnego ilości węgla i zdaje się, że inżynierowie królowéj zgodzą się pod tym względem z geologami. W Ameryce, zapewne starczy go na dłużéj, na jakie 7 lub 8 wieków, lecz gdy się i tam wyczerpią kopalnie, cóż się wtedy stanie? Sądzę, że się znajdzie nowe paliwo, ale jakie? Oto jest kwestja nad którą obecnie zastanowiemy się bliżéj.

Najprzód, zwróćmy uwagę, że fizyka już wykazała, że ciepło i siła są niejako dwoma sposobami objawiania się jednego i tego samego czynnika. Trudno myśleć, żeby dzisiejsza machina parowa była odrzucona, zdaje się bowiem być ostatnim wyrazem tegoczesnéj mechaniki, można ją będzie ulepszyć, żeby zużywała mniéj paliwa, musimy bowiem wyznać ze wstydem, że ona zużytkuje zaledwie 10 do 12%. Ale zdaje się, że niczego lepszego od niéj wymyśleć nie będzie można, uważając rzecz tę matematycznie. Trzeba będzie więc szukać innego motora. Użyjemyż powietrza naciskanego wodą, jak to już proponowano? zdaje się to prostem w teorji, ale niem nie jest w praktyce. Powiedzmyż przemysłowcom, żeby się z fabrykami umieścili przy wodospadzie Niagary, lub nad brzegami oceanu, gdzie będą mieli darmo motora do ciśnienia powietrza, a pewno woleliby raczéj zamknąć fabryki swoje. Trzeba więc szukać innego paliwa, a tu powiem bez ogródki myśl moją, trzeba użyć do tego słońca i nauczyć się przechowywać niejako na ten cel jego promienie. Nie śmiejmy się z wyrażenia, ale kto wie, czy nie nauczymy się kiedy *butelkować* promieni słonecznych. I nie stawiam tu paradoxu, ale chemja, fizyka i geologja przychodzą na pomoc mojéj teorji.

Wiadomo, że badania nad tem, co równoważy siłę mechaniczną ciepła, wskazały, że cieplik dawany nam przez paliwo kopalne t. j. węgiel, jest ciepłem słonecznem tego samego natężenia, które w czasach geologicznych węgiel nagromadził w roślinach i te dały z kolei węgiel kopalny. Wybornie maluje ten stan rzeczy słowo wielkiego Stephensona, który patrząc na rozpędzoną lokomotywę rzekł do kogoś co stał przy nim: „Nie para to, ani węgiel popychają tak silnie tę lokomotywę, ale ciepło słoneczne, przechowane w roślinach zwęglonych od miljonów lat!” A znów kiedyś, nazwał lokomotywy końmi słońca. To więc ciepło słoneczne nam zużytkować potrzeba,

wyrażam tu jednakże myśl moją pod wszelkiemi zastrzeżeniami. U wstępu bowiem każda myśl taka budzi tylko uśmiech; gdyby kto niegdyś patrząc na podskakującą pokrywę garka, w czasie gotowania, powiedział, wyprzedzając wiek swój, że tam leży zawiązek najpotężniejszéj siły, byłby obudził powszechne szyderstwo, że śmie porównywać parę wychodzącą z garnka do jakiejkolwiek siły mechanicznéj. A przecież miałby on słuszność. Ja zatem odzywając się z butelkowaniem promieni słonecznych, jestem w tym samym przypadku; powtarzam więc, że robię tylko wniosek. Kiedy Archimedes, przed dwoma tysiącami lat, palił za pomocą zwierciadeł rzymską flotę, robił rzecz, która do naszych prawie czasów uważaną była za niepodobną. Dopiero Buffon i jego uczniowie, zapaliwszy las za pomocą zwierciadeł odbijających, sprawili, że uwierzono w dzieła Archimedesa i nie śmiano się z tych, którzy twierdzili, że rzeczywiście flota rzymska była tak spaloną. To więc co zrobił Archimedes, co po nim powtórzył Buffon, mogłoby się dać zrobić na większą skalę, czy to koncentrując ciepło słoneczne za pomocą zwierciadeł odbijających, czy też innym jakim sposobem. Być może nawet, że tak przechowane ciepło w strefach gorących, będzie się rozsyłać w dalekie strony jak węgiel. Będą zapewne użyte do tego jakieś przedmioty odbijające promienie, któreby ciepło przenikało dostatecznie a nie roztapiało ich. Jak dziś przechowujemy zimno-lód; będziemy tak zapewne przechowywać i gorąco, w piwnicach. Kalifornia będzie bezwątpienia jednym z tych krajów, gdzie zaczną zbierać ciepło słoneczne do butelek, tam bowiem 8 miesięcy bez przestanku, słońce pali bez żadnéj przeszkody; dotykając muru, lub innego jakiegoś przedmiotu, wystawionego na działanie promieni, można sobie literalnie poparzyć ręce.

Wierzmy zatem, że świat nie zginie z braku paliwa, gdyby nie można było użyć promieni słonecznych znajdzie się co innego. Znów wtedy umysł ludzki złoży dowód swéj potęgi, nauka złoży cud nowy na ołtarzu wiedzy.

LISTY Z PARYŻA.

III.

21 Czerwca 1867 r.

Są chwile w życiu, w których tak dręczący smutek osiada w duszy, tak niewysłowiona tęsknota ogarnia serce, że cały świat się przyoblek a jakąś ponurą, posępną zasłoną, jak gdyby słońce nadziei, na wiek już wieków zagasło. Myśl znękana, jak ptak ze złamanem skrzydłem, darmo się sili do lotu, darmo na wszystkie krańce horyzontu spoziera, zewsząd złowrogie kręgi rzeczywistości opasują do koła, wżerają się w serce, wpijają w duszę. I usta mimowoli szepczą z poetą: „i tęskno i smutno, i nie ma ręki podać komu, w godzinie strasznéj cierpienia"—i myśl mimowoli biegnie do owéj smętnéj, w wieszczem widzeniu ujrzanéj krainy, nad którą cichy łzawy anioł, Eloe, srebrne roztoczył skrzydła.

I cóż dziwnego: wszak z dawien dawna świat ten padołem płaczu nazwano; wszak z dawien dawna duch ludzki, aby wewnętrzną ugasić tęsknotę i wyższe, jaśniejsze dla siebie zgotować siedlisko, zerwał się z ponuréj ziemi, w sfery szafirów i blasków popłynął, i usłał gniazdo sobie na owych wyżynach, co między ziemią i niebem zawisły,.. Tam jako orzeł na skał urwisku zasiadłszy, jednym rzutem oka przebiega posępne padoły ziemi i świetlane niebios krainy; tam z mieszkańcami niebios tajemnicze prowadzi rozmowy, tam jako arcykapłan piękna czarodziejskiem zaklęciem nowe światy stwarza, i uroczystą na cześć *ideału* odprawia ofiarę...

Ztamtąd, z tych jasnych, czystych dziedzin sztuki, w melancholijnych promieniach jutrzenki, z niebios dla ziemi lepsze płyną wieści, ożywcze tchnienie przyszłości zawiewa; tam tylko duch ludzki ukojenie znachodzi; tam tylko jak w śnie Jakóbowym niebo się otwiera, i cudne blaski swoje i śnieżnopiórych aniołów chóry odsłania...

I my więc w téj godzinie bolesnéj tęsknoty, pójdziemy szukać pociechy w owych arcytworach sztuki, które się tak majestatycznie w samym środku nowoczesnego Kolizeum rozsiadły, i niby rzymskich senatorów grono, z niewzruszoną na snujące się u ich stóp tłumy spoglądają powagą.

Wchodząc więc do pałacu Wystawy, mijamy obojętnie te olbrzymie galerje, w których dzieła przemysłu roztoczyły wszystkie swoje bogactwa, i dążymy do ostatniego kręgu, otaczającego pełną zieloności i woni ogrodową arenę. Kwiaty, wijąc się po murawie, swobodnie tu się do słońca śmieją; fontanny szemrzą do cichych marzeń kołyszącą melodję, a do koła marmurowy chór posągów poważnem cię wita milczeniem. Jeżeli lubisz, zamknąwszy oczy, myślom puścić wodze, i po

przeszłości błąkać manowcach, to wdzięczna ta zieloności i sztuki oaza, w odległe czasy cię przeniesie, pod szafirowe stropy Hellady, do cudnych Akadema ogrodów, w złoty kraj słońca i sztuki, w krainę poezji i piękna...

Ale niestety! złudzenie trwa krótko. Świszczący język anglika lub głośny szczebiot szastającéj się francuzki rozbudza cię z twoich marzeń, i jak zuchwałego Ikara na fale rzeczywistości ztrąca.

Więc rzućmy tę cichą, błogosławioną oazę i płyńmy z potokiem tłumów w jedną z tych olbrzymich galerji, co nas otaczają do koła; na wstępie błyszczą napisy: Francja, Hollandja, Belgja, Prussy i tak daléj aż do Turcji, Egiptu, Chin i mało komu zapewne znanego państwa Liou-Kiou.

Zostawmy ich na ten raz w spokoju, i udajmy się w tę stronę, gdzie córa Hellady, gdzie piękna Italja rozłożyła marmurowe swe skarby. Jéj, jako najwierniejszéj kapłance sztuki, słusznie się należy pierwszeństwo. Ojczyzna Rafaela i Michała Anioła, czarodziejskim wieńcem nowego opromieniona życia, w tym poziomym chórze nowoczesnéj sztuki z pewnością żywo się odznacza; tak nam przynajmniéj głos wewnętrzny mówi.

Wchodzimy więc do kraju posągów, pod italskiém niebem wyrosłych, wykołysanych *stanzami* Tassa i Petrarki, wykarmionych mlekiem wielkich wspomnień...

Patrz: tu Fryne roztacza wdzięki toczonego ciała, tu córka Jeftego żałośnie pogląda, tu nieszczęsna Beatrix Cenci z oczyma wlepionemi w niebo rozpaczliwie załamuje ręce, tam mały Amor zdradnie się uśmiecha, tam Wiosna w postaci młodéj dziewczyny, oddycha życiem, świeżością i wonią.

Jak dziwnie myśli artystów się schodzą: oto trzy biusta też samą myśl wyrażające, trzy głowy niewieście, co jak trzy polne kwiaty, idealny typ skromności przedstawiać mają. Zatrzymajmy się przy nich. Wszystkie zarówno urok czarowny młodości otacza, wszystkie zarówno skromnie spuściły oczęta, nie śmią spojrzeć na ciebie; zda się, że pod pociskiem twego oka rumieniec wystąpi na ich dziewicze oblicza. Lecz skoro niedyskretnie popatrzysz się dłużéj, i wnikniesz w myśl, co te młode główki ożywia, to spostrzeżesz, że lubo ma pozór wszystkie trzy zarówno są skromne, w rzeczy saméj jednak wielce się różnią od siebie.

Pierwsza (dłuta Józefa Argenti z Medyolanu) to młodziuchna dziewczynka, eterycznie piękna, i taka cicha jak niebieski aniołek. Żadna myśl ziemska nie pokalala jeszcze jéj serduszka, żadna chmurka smutna nie przesunęła się po jéj czystem czole: spuściła skromniutko oczy pełne niewinności i prostoty, do świeżéj lilji podobna co z pierwszem poranku tchnieniem, wdzięcznie się kołysze na wiotkiéj łodydze. Skromność to prawdziwa. naturalna, w śnieżne szaty pokoju i niewinności ubrana, z niewinnéj dziecięcéj duszy płynąca.

Druga (Anioła Biella z Medyolanu) nie jest już dzieckiem lecz młodziuchną dziewczyną, probującą jak młode ptaszę na własnych już bujać skrzydełkach. Spuściła oczki, bo nie śmie zwróconych na nią spojrzeń wytrzymać, a przytem wie już i o tem cośkolwiek, że skromność młodéj panience przystoi, że jest ona najpiękniejszą kobiety ozdobą. Miałaby wprawdzie ochotę zerknąć oczkiem znienacka, i błysnąć czarną źrenicą, ale to nie wypada. Coby na to wreszcie powiedziała mama, lub która z kochanych cioteczek? Więc patrzy w ziemię z słodziuchną minką, a lekki cień uśmieszku już ma sfałdować drobniutkie usteczka, i przebiedz całą jéj twarzyczkę, jak cichy powiew wiatru po kryształowéj tafli jeziora. Nie stójmy więc przed nią tak długo, bo dziewczyna gotowa się zniecierpliwić, a zapomniawszy o przestrogach, zaczerwienić jak wiśnia, i uciec do mamy, by zapłonioną twarzyczkę na jéj piersiach schować.

Trzeci biust (Corbelliniego z Medyolanu) przedstawia młodą pannę, w piękności kwiecie, z prześlicznym ściągłym noskiem, z powłóczystemi oczyma. Wie ona już więcéj o życiu, niż to jéj okazać wypada, a lekko wzdymające się nozdrza i pierwsze już burze namiętności zdradzają.

O! darmo spuszczasz oczy prześliczna panienko, wiemy doskonale, że jakiś podstęp w téj dobrodusznéj mince się kryje; że spuszczasz je dla tego, aby tem silniéj olśnić nas potem spojrzenia twego blaskiem, tem głębiéj przeszyć i zaniepokoić serce. Bywaj nam zdrowa—niech kto chce wierzy w twą skromność, my wiemy słodki aniołku, że znasz już wdzięków twych siłę, że umiesz popatrzeć w danym razie nietylko anielskiéj niewinności okiem, ale i spojrzeniem bałamutnéj djabliczki. Białąś ty różą, zaledwie z pączka wytryskającą, lecz zawsze różą, a nie łagodną i cichą lilijką.

Z pomiędzy figlarnego grona małych statuetek, co się jak gromadka hałaśliwie igrających dzieci po galerji rozbiegły, dwie nas szczególniéj uderzyły prawdą i życiem: mały rybak i amorek żebrzący, obie dłuta Ulisesa Cambi z Florencji. Mały rybak z radością i zachwyceniem przypatruje się schwytanéj rybce, która się rzuca i wije w dziecinnych jego paluszkach. Naiwna radość chłopczyny, wyraz zadowolenia rozlany na jego uśmichniętéj twarzyczce, giest i postawa pełne prawdy i wdzięku, wszystko to zarazem tworzy mi-

luchny rodzajowy obrazek, drobną, pełną prostoty sielankę, żywo, poetyczne utwory w tym rodzaju naszego Lenartowicza przypominającą.

Amorek żebrzący jest o wiele jeszcze doskonalszym utworem. Wyciąga on rączkę i niby prosi, i twarzyczkę niby to boleśnie wykrzywia, ale się tak przytem złośliwie uśmiecha, tak z pod oka figlarnie spogląda, że czujesz doskonale, iż mały łotrzyk robi sobie tylko igraszkę, a wie wybornie, że o to czego pragnie, nie ma potrzeby prosić....

Wszystko to piękne bezwątpienia, odezwał się towarzyszący mi w téj estetycznéj wędrówce Ignacy, lecz nie zadawalnia mię wcale. Wszystkie te popiersia, posągi i posążki wykonane są z niepospolitym artyzmem, mają wiele życia, uderzają wykończeniem i poprawnością rysunku, ale są to zalety zwyczajne; bo jużciż trudno było na Wystawę przysłać utwory, któreby nawet tym pierwszym warunkom sztuki nie czyniły zadość. Dzieła zaś takiego, któreby nie tylko techniczną pięknością się odznaczało, ale przytem i jakąś myśl wielką, jakieś wzniosłe uczucie zawierało w sobie, nie spostrzegłem dotychczas.

To, co tutaj dokoła siebie widzę, nie wychodzi jeszcze po za obręb akademickiego ćwiczenia — w żadnym z tych posągów nie objawił mi się jeszcze duch prawdziwego artysty. Jeżeli Włochy na to tylko w dziedzinie rzeźby potrafiły się zdobyć, to widać że i u nich sztuka tak skarłowaciała jak i tu we Francji, jak i w Europie całéj.

Nie mogłem się powstrzymać od trochę złośliwego uśmiechu, Ignacy to spostrzegł, i zapalając się, tak mówił daléj:

Widzę, że sąd mój wydaje ci się nadto surowym; lecz przyznaj sam, że zadaniem sztuki nie jest proste bawienie oczu, lub też obudzenie podziwu ciemnéj i bezmyślnéj gawiedzi. Ona ma podnosić ducha ludzkiego, wzniosłe mu ideały odsłaniać. Powiedz że mi, co wielkiego lub wzniosłego widzisz w tych posągach, w tych statuetkach, w tych płaskorzeźbach, w których zarówno widny jest talent jak i ubóstwo myśli? Ten mały Giotto rysujący na piasku, ten żebrzący amorek, ten rybak, ta niewinność, skromność etc. etc. to wszystko albo tylko igraszki, albo też studja, przygotowujące artystę do wykonania prawdziwie pięknego dzieła. Lecz takiego dzieła tu nie ma.

Jest ono, odpowiedziałem; a nie pokazałem ci go na wstępie, aby tem lepiéj dać poczuć całą jego wyższość po nad te wszystkie utwory, zdradzające, jak toś sprawiedliwie powiedział, i wielką techniczną znajomość sztuki, i wielkie ubóstwo myśli.

Więc prowadź mię do niego, gdzież ono? zawołał Ignacy.—O kilka kroków od nas, odpowiedziałem, i poprowadziłem go do sali, w któréj umieszczoną została statua umierającego Napoleona, wykonana dłutem Wincentego Vela.

Bohater złamany cierpieniem siedzi w krześle, nogi pokryte spadającą do koła draperją, a w ręku mappę świata trzyma. Twarz zwiędła i znękana, osłabienie widoczne w całéj postaci, bezwładnie już prawie opuszczone ręce, wszystko wskazuje, że zbliża się dla niego ostatnia już chwila, że wkrótce anioł śmierci zagasi tę olbrzymią pochodnię, która swym blaskiem napełniała świat cały. W głębokiéj pogrążony zadumie, nieruchomy wzrok w daleką przestrzeń zatopił... Czujesz, że w téj ostatniéj, przedśmiertnéj godzinie, raz jeszcze myślą całą zdumiewającą epopeę swoją ogarnia, przebiega kolejno wszystkie momenta swéj doli, snuje w swéj duszy cały szereg przebrzmiałych wypadków, setne bitwy i setne zwycięztwa, całą wielkość swoją i całą chwałę...

Te orle oczy utkwione w przestrzeni, pełne są jakiejś wielkiéj, zdumiewającéj wymowy— Czytasz w nich jasno homeryczne dzieje tego olbrzyma, czujesz w nich majestat wielkości i cierpienia...

Na widok téj statui, tak żywo uprzytomniającéj ostatnie chwile wielkiego człowieka, jakaś zgroza przejmuje duszę. Poglądasz ze zdumieniem na tego nowożytnego Prometeusza i w myśli przebiegasz jaskrawy szlak jego żywota, lecisz pod mury Tulonu, a daléj na polu Rivoli, Marengo, Austerlitz, Jeny i Wagramu, widzisz go w całym blasku potęgi i chwały, dyktującego prawa ludom i wstrząsającego światem, i prawie wierzyć nie możesz, że ten szlak zwycięzki, tak wielki, tak olbrzymi, tak wielkim też i olbrzymim skończył się upadkiem....

To wzniosłe, wydatne czoło aureola gienjuszu otacza — sto zwycięztw na niem promienieje; lecz ręka osłabła, zda ci się wskazywać na rozłożonéj mappie—Waterloo, a blade widmo śmierci, rozciągające grobową zasłonę nad powalonym olbrzymem, szepcze ponuro—Ś-ta Helena...

Artysta w téj statui zamknął całą historją *wielkiego cesarza*, epopeę jego wyśpiewał; marmur pod jego dłutem zamienił się w cudowną harfę Homera. i uroczystym rytmem opowiada wszystkie wielkie czyny bohatera, i wszystkie jego w ostatnich chwilach męczarnie...

Chwała i potęga zetknęły się tutaj z wygnaniem i niemocą, cesarski djadem z koroną męczennika, wielkość z nicością...

Jakiż to wielki przykład i jakże wielka nauka!...

Wincenty Vela, twórca tego arcydzieła, jest jeszcze młodym człowiekiem: artysta to prawdziwy, miłujący prawdziwe piękno, duchem

Michała Anioła owiany. Jeden z jego osobistych przyjaciół opowiadał nam, że po sprowadzeniu téj statui do Paryża, sam on ją pokazywał Cesarzowi Napoleonowi III. Cesarz ujrzawszy ją, zadumał się głęboko—stał w milczeniu przez długą chwilę, wreszcie łzy mu zabłysły w oczach, odwrócił się, uścisnął rękę artysty i z widocznem wzruszeniem te tylko wymówił słowa: To piękne jest, to piękne! Zaprawdę, utwór ten zaćmił wszystkie dzieła rzeźby, jakie Europa w ostatnich czasach wydała: zobaczywszy go, nie ma się już ochoty patrzeć na inne, tak małość i poziomość ich myśli 'nas razi, taki w nich brak wyższego, wznioślejszego polotu.

Rząd francuzki kupił tę statuę za trzydzieści tysięcy franków, i zapewne powiększy ona liczbę arcydzieł, nagromadzonych w galerjach Luwru.

Poczciwy mój Ignacy wzruszony był i rozrzewniony; tak jak i ja nie miał już ochoty patrzeć na co innego; wyszliśmy więc z galerji i siadłszy w ogrodzie długośmy jeszcze o statui Napoleona, o sztuce w ogóle i powodach upadku jéj w obecnych czasach gwarzyli.

Edward Siewko.

PRZEGLĄD LITERATURY KRAJOWÉJ.

H. T. Buckle'a: Wpływ kobiet na postęp wiedzy, spolszczył Stanisław Czarnowski! Stud. Szko. Głów. Warszawa 1857 16-a str: 48.

Drugi już przekład téj ciekawéj rozprawy ukazuje się w języku naszym. Pierwszy w Żytomierzu roku zeszłego bez nazwiska tłumacza wydany, drugi uskutecznił pan Czarnowski językiem płynnym, poprawnym, choć oszpeconym mnóstwem omyłek drukarskich, zresztą dość często praktykowanych w wydawnictwach tutejszych.

W saméj rozprawie o kobietach powiedziano tak mało, ile tylko na to niewielka objętość broszurki pozwalała. Najwięcej w niéj mowy o tak zwanéj metodzie badania i o wpływie jaki kobiety swem dedukcyjnem sądzeniem o rzeczach tego świata, na rozwój i postęp wiedzy wywierają. Przedmiot tak ponętny należał widocznie do ulubionych tematów znakomitego Anglika, bo mu ostatni dział swéj Historji Cywilizacji (w polskim przekładzie Zawadzkiego nie wydany jeszcze) poświęcił i na jego podstawie oparł wyczerpujące, źródłowe badanie rezultatów, z rozmaitego stosowania tych metod: indukcyjnéj i dedukcyjnéj, w nauce wynikających. Przewaga metody indukcyjnéj i jéj stosunek i znaczenie odnośnie do naukowego badania, niejednokrotnie już były przez angielskich myślicieli wykazywane. Historyk Macaulay w rozprawie swéj o Baconie (Lord Bacon Essays. Vol III). Buckle w biografji tego filozofa (On Bacon) Mill w systemie induktywnéj piloiki (System of inductive logic), pomimo przeważającéj w nich skłonności do pierwszéj metody badania, wykazują całą wagę dedukcyjnéj metody w nauce i w harmonijnem ich skojarzeniu, upatrują przyszły postęp umiejętności.

Zanim kilku słowami określimy różnice tych metod, nie od rzeczy będzie przedstawić czytelnikom życiorys autora, którego rozprawę tu rozbierzemy, zwłaszcza że w obecnym czasie, gdy tyle piszą i mówią o Buckle'u, odbywa się ważna, na podstawie jego metody osnuta, reforma w historycznych badaniach.

Henryk Tomasz Buckle urodził się dnia 24 Listopada 1822 r. umarł 29 Maja 1862 r. w czterdziestym roku życia. Będąc dziecięciem słabowitem wcześnie opuścił szkoły i nauk uniwersyteckich nie odbył. Niezmierną wiedzę swoją, zawdzięczał tylko usilnéj domowéj pracy i nieugaszonéj żądzy dojścia do prawdy, przekazanéj nam w dziełach najznakomitszych myślicieli. Powierzchowność jego była ujmującą, wzrostu był średniego, a piękne jego oblicze krasiły oczy błyszczące ogniem natchnienia. Po śmierci ojca odziedziczył znaczny majątek. Miał wówczas lat 18 i mógłby swobodnie oddać się towarzyskiemu lub politycznemu życiu, właściwemu bogatszéj angielskiéj młodzieży. Lecz wznioślejszemi przeniknięty pobudkami, postanowił oddać się zupełnie nauce, i w tym celu zaopatrzył swój bogaty księgozbiór najważniejszemi ze wszystkich gałęzi umiejętności dziełami, z których, przy ważnem odczytywaniu robił wyciągi i takowe stosownemi opatrywał uwagami. Obdarzony niezwykłą pamięcią, pomimo trudności jaką mu sprawiało czytanie filozoficznego języka Niemców, mógł wiernie cytować najważniejsze z Hegla ustępy. Podziwiano nieraz w uczonych zebraniach jego rozległą znajomość najróżnorodniejszych pisarzy. Jego Historja Cywilizacji, może pod tym względem zadziwiające złożyć świadectwo. Nieraz gdy mu wyrzucano że dba mało o zdrowie swoje, odpowiadał, że pracując przy otwartem oknie nigdy bólu głowy przy pisaniu nie cierpi, a przechadzek częstych używa, myśląc o układzie rozdziałów swéj Historji. Jedyną rozrywką jego była gra

w szachy, w któréj tak się wydoskonalił, że najlepszemu szachiście londyńskiemu dał mata. Historyczne studja zbliżyły go do słynnego Hallama; zanim jeszcze publicznie wystąpił, już mu wielki ten historyk przepowiedział świetną przyszłość.

Dla gruntowniejszego opracowania swego dzieła odbył podróże po Niemczech, Hiszpanji, Francji i Włoszech i tu badał charakter narodów, miejscowości i literatury. Czytał płynnie językami tych krajów, a starożytność znaną mu była dokładnie.

Po wydaniu drugiéj części swéj Historji, sam uczuł iż się przepracował. Było to na wiosnę 1861 roku. Pamięć go odstąpiła. Przyjaciele zauważyli znaczną zmianę w jego usposobieniach i powierzchowności, i poradzili mu aby się na czas jakiś wyrzekł umysłowéj pracy i szukał w cieplejszych krainach wytchnienia. We Wrześniu tegoż roku opuścił Anglją w towarzystwie dwóch młodzieńców, synów przyjaciela swego i spędził zimę nad brzegami Nilu. Tu doznał tak znacznéj ulgi, iż w listach do przyjaciół doniósł, iż „czuje się silniejszym na ciele i duchu niż kiedykolwiek. W początkach Marca opuścił Kair dążąc w okolice Synai. Ponieważ czuł się zdrowszym, przedsięwziął uciążliwą podróż konno po Palestynie. W Nazarecie i Sydonie zatrzymał się nieco czując się osłabionym, wreszcie postanowił odbyć utrudzającą podróż do Damaszku.

Gdy na załomie wschodniego stoku Antilibanu, nagle słynna ta równina rozpostarła się przed jego oczyma, zachwytom jego nie było granic. Lecz zdrowie zwolna go opuszczało, siły niknęły i dotkliwa bezsenność zmusiła go do zażywania opium. Wpadł w gorączkę i często wśród majaczenia słyszano bolesny jego wykrzyk: „O książko moja—nie będę-ż cię mógł dokończyć!" Francuzki lekarz, mimo to zapewniał że chory przyjdzie do siebie, jeżeli zaniecha nużących wycieczek. Jakoż 21 Kwietnia stan zdrowia Buckle'a polepszył się nieco, lecz nad wieczorem zapadł na nerwową gorączkę, stracił przytomność i 29 nad wieczorem wydał ostatnie tchnienie. Ciało jego złożone w mogile małego cmentarza który dziesięć dni przedtem zwrócił jego uwagę, gdy cudny krajobraz zachodniego stoku Antilibanu roztoczył się przed oczyma wędrowców.

Spadek po Bucklu odziedziczyła jego siostra. Dom i szacowny księgozbiór w Oxford Terrace w Londynie, puszczono na licytację, a manuskrypta dostały się do rąk stryja jego adwokata, który ociągał się z ich wydaniem aż dopiero J. Stuart Mill wziął na siebie obowiązek uporządkowania papierów i ogłoszenia drukiem jego „Collectaneów" które niezadługo zapewne się ukażą.

Oprócz pomnikowego dzieła swego, Buckle napisał także kilka pomniejszych rozpraw, które prawdopodobnie i w naszym języku się ukażą, a między innemi, zamieszczony w magazynie Frazera odczyt: o wpływie kobiet na rozwój wiedzy, obecnie przez pana Czarwskiego wydany. Zasadniczą jego myślą jest, że kobiety z natury swojéj wrażliwsze, wprowadziwszy w życie pierwiastek idealny, romantyczny uchroniły mężczyzn od praktyczności i egoizmu, niedozwoliły życiu zamienić się w jednostajną i nudną rutynę. Wpływ kobiet ograniczył samowolę mężczyzn; złagodził ich obyczaje, zmniejszył ich surowość. Lecz trudniejszem zadaniem Buckla jest wykazanie wpływu kobiet na rozwój umiejętności. Bezstronnie bowiem sądząc, trzeba wyznać „że żadne z wielkich dzieł nauczających ludzkość i uprzyjemniających życie jéj nie było utworem kobiety. W poezji, w malarstwie, w rzeźbie, w muzyce, najpiękniejsze i najwznioślejsze utwory były dziełem mężczyzn. Ani jedna kobieta, jak gdyby otaczające okoliczności nie sprzyjały temu, nie zrobiła takiego odkrycia, które dla swéj ważności mogłoby stanowić epokę w dziejach umysłowości ludzkiéj." Oto fakta, zdaniem Buckla dość ważne i znaczące, na podstawie których opartym być musiał pogląd: że wyższa wiedza nie jest rzeczą kobiecą, że tego rodzaju przedmioty zupełnie są niedostępne dla kobiet, że one powinny się ograniczać na praktycznem, towarzyskiem i domowem pożyciu, że ich zadaniem jest podnieść i upiększać to życie, lecz że nie mogą mieć ani bezpośredniego, ani pośredniego wpływu na postęp wiedzy, i jeśli się będą uganiać za tym wpływem, to nie osięgną celu, a natomiast opuszczą pole swojéj prawdziwie pożytecznéj działalności.

W rozprawie swojéj zamierzył Buckle obalić to zdanie i wykazać: że wpływ kobiet na postęp wiedzy nietylko nie był mało znaczny i znikomy, lecz przeciwnie, że kobiety zdolne są mieć i w rzeczy saméj miały w tym kierunku wpływ ogromny.

Wiedza ludzka nie z samych jedynie faktów się składa, ale i ze stosunków tak faktów jak i idei pomiędzy sobą, i jednych do drugich. Rzeczywista wiedza polega nie na znajomości faktów, co stanowi tylko *pedanta*, ale na ich zużytkowaniu umiejętnem, co stanowi *myśliciela*. Tak pojmując wiedzę spostrzegamy iż składa się ona z trzech działów: z metody, umiejętności i sztuki. Bezpośredniem celem wszelkiéj sztuki jest: albo przyjemność, albo użytek; bezpośrednim celem umiejętności: tylko prawda. Jak sztuki i umiejętności różne są cele, tak i właściwości ich są rozmaite. Właściwością sztuki jest kierować zjawiskami, właściwością umiejętności jest przewidywać je. Sztuka kieruje zjawiskami

z któremi mamy do czynienia, umiejętność przewiduje je. Im doskonalszą jest sztuka, tem większą ma możność kierowania zjawiskami.

Ponieważ zaś w umyśle kobiet istnieje wrodzony, panujący, trwały pierwiastek dający im możność jeśli nie czynienia naukowych odkryć, to władzę silnego i dobroczynnego wpływu na metodę, za pomocą któréj czynią się odkrycia, a zatem oddziaływanie kobiet na rozwój wiedzy odbywa się z wielką dla niéj korzyścią.

(Dokończenie nastąpi).

DWIE POTRZEBY

Opowiadanie przez Ludwikę Mühlach.—Przekład z niemieckiego przez K. R..

(Dalszy ciąg).

— Zawsze będę dla ciebie czułą siostrą Mayer Anzelm, ale powiedzże nam nareszcie cóż to się stało tak osobliwszego, że aż przybiegłeś nas się poradzić.

— Tak, tak, z jakiéj przyczyny wyszedłeś dziś z biura o całą godzinę wcześniéj? zapytał stary. Niespodziewam się, żeby bogaty Natan zbankrutował i dla tego przed czasem zamknął swój kantor.

— Nie ojcze Boruch, odpowiedział młody człowiek z uśmiechem, mój pryncypał bynajmniéj nie zbankrutował, przeciwnie wygrał dzisiaj 10,000 guldenów, spekulując in minus, co mu się udało. Z radości podwyższył każdemu w swojem biurze po 4 zlr: gaży na miesiąc, a mnie zawołał do swojéj kancelarji, żeby na osobności pogadać.

— Z tobą pogadać na osobności! zawołał ze zdziwieniem Boruch,—zdaje mi się że jesteś najmłodszym kommissantem w jego biurze; jakże dawno pracujesz u niego Mayer Anzelm?

— Od trzech lat, ojcze Boruch, nielicząc lat terminowania.

— Trzy lata tylko,—i po tak krótkim czasie przywołuje Natan swego najmłodszego kommisanta do kancelarji, żeby zasięgnąć jego rady?

— Nie ojcze Boruch, nie dla tego odpowiedział Mayer Anzelm wahając się i rumieniejąc tak, że Gudula zaciekawiona, podniosła oczy i wpatrując się bystro w twarz jego starała się odgadnąć co myśli.

— Więc po cóż cię zawołał? pytał niecierpliwie stary.

— Aby mi powiedzieć coś tak dziwnego, o czem bym sam nigdy nieśmiał marzyć.

— Nie przypuszczam żeby to miało być nieszczęściem dla ciebie, żywo podchwyciła Gudula.

— Nieszczęście?!.... o niemylisz się siostro Gudulo!— owszem, wygląda to na wielkie szczęście dla mnie. — Bogaty Natan przyjmuje mnie do spółki.

— Do spółki! zawołał stary Boruch, Czy on rozum stracił? Ciebie brać za spólnika!...

— Nie przerywaj mu ojcze, rzekła Gudula, spoglądając z dziwnym wyrazem na młodego człowieka. Zdaje mi się że on nam niedopowiedział najważniejszéj rzeczy.

— Mów Mayer Anzelm, pod jakiemi warunkami zaproponował ci bogaty Natan spółkę?

— Pod jednym warunkiem siostro Gudulo. Nie mając męzkiego potomstwa chce mnie przyjąć za syna, dać swoje nazwisko, odkąd firma nazywałaby się: Mayer Natan i syn.

— A ten jedyny warunek zawiera się w tém, rzekła Gudula spuszczając znowu oczy na robotę, żebyś się ożenił z jego córką Rachelą?

— Zgadłaś siostro Gudulo! zawołał i dobrze żeś zgadła, bo mi to jakoś trudno było powiedzieć... Jest to jedyny warunek Natana.

— Ale to być nie może, ty tego nigdy niezrobisz, zawołał z zapałem Boruch; ożenić się z Rachelą to tożsamo co pojąć upiora za żonę,—ona ci świat w piekło zamieni!... Albożniewiesz, że jest brzydką zyzowatą i ułomną!

— Wiem o tem, odpowiedział spokojnie Mayer Anzelm, lecz zarazem wiem, że to jest ciche i spokojne stworzenie, i że posiada piękne przymioty duszy, mimo brzydkiéj postaci ciała, jest dobroczynną, pobożną, wszyscy ubodzy ją błogosławią, o czem wiem doskonale ojcze Boruch!... Ma ona bardzo litościwe serce, i......

— I te serce ofiarowała tobie, przerwała prędko Gudula. Nieprawdaż?... Rachela kocha ciebie...

— Powiedziała to samemu ojcu, odpowiedział Mayer Anzelm, spuszczając oczy, a ponieważ on bardzo kocha swoją jedynaczkę, pragnie więc bym został jego zięciem.

— A ty? zapytał Boruch, kochasz że ją także, tę piękną Rachelę?

— Bynajmniéj! odpowiedział młody człowiek, wcale jéj nie kocham. Posłuchajcie tylko co wam powiem ojcze Boruch i siostro

Gudulo, zdaje mi się, że nie jestem zdolny do zakochania się, jestto przymiot, którego mi przyroda odmówiła. Nieraz badałem swoje serce i spostrzegłem, że ono jest za ciasne, samo w sobie zamknięte, zupełnie zadowolone tem, co posiada, to jest z przywiązania do was ojcze Boruch, i że kocha ciebie siostro Gudulo; nie pragnie ono doznać ani rozkoszy ani boleści téj gorącéj miłości, jaką nam opisują poeci.—Tak ciasnem jest moje serce, że wy oboje zajmujecie całą jego przestrzeń! Wszelako zdaje mi się, że zdołam wynaleść w jego przedsionku małe pomieszczenie i dla dobréj Racheli, chciałbym okazać się wdzięcznym za jéj miłość i za......!

— Za jéj pieniądze, przerwała z niechęcią Gudula.

— Dobrze mówisz, za jéj pieniądze!—zawołał Mayer Anzelm, gdyż z jéj przyczyny będę bardzo bogatym. Mamże wam wytłumaczyć co to znaczy?!... To znaczy, w naszym zepsutym wieku: że będę niezależnym, poważanym, uczciwym i szanowanym!

Wiecie dobrze że żyd ubogi, jest to parja przez wszystkich pogardzony, wyrzutek społeczeństwa, pozbawiony wolnéj woli, czci i szacunku! Nieraz patrzałem na nędzę i poniżenie naszego narodu, dawno już uważałem, jak ci co się mianują Chrześcijanami, i powiadają, że religja ich, uczy miłości bliźniego i pobłażania, nami pogardzają i depcą nas prawie nogami. Oni nas prześladują i nienawidzą, nie mogą nam darować, że nasza mowa jest skrzywiona, że nasze nosy mają kształt odmienny, że oczy nasze są pełne ognia, a włos nasz lśniący i czarny, wtedy kiedy u nich oczy i włosy są jasne.—Zarzucają nam że zachowujemy wiernie obrządki naszéj wiary, poczytując nam to za zbrodnię!... *Nam, ubogim żydom!!!*—Gdy zaś ten sam żyd będzie bogatym, przebaczają mu wówczas wszystkie mniemane zbrodnie, chętnie przyjmują go do swego towarzystwa i nie czują odrazy ani do jego nosa, ani do jego włosów i mowy.

Sądzę zatem, że głównym celem życia dla żyda jest, zostać bogatym!... gdyż takim będąc, ma on i cześć i poważanie u ludzi. Nabrałem tego przekonania, obejrzawszy się po świecie, kiedy przed trzema laty powróciłem z Fürth od mego starego wuja, gdzie o głodzie przebyłem lata nauki.

Za powrotem do Frankfurtu, do naszéj żydowskiéj ulicy, stojąc u spiżowych wrót i rozmyślając nad tem, padłem na kolana, chociaż nikt tego nie widział, bo było to wieczorem, a ciemność otaczała mnie do koła. Upadłem na kolana i zaprzysiągłem przed Bogiem naszych ojców, że zostanę bogatym, że będę milionerem! Nie sądźcie zaś, że to dla podłéj chciwości, dla zysku, z chęci wyniesienia się, lub innych osobistych widoków, o bynajmniéj! Chcę być bogatym, bym mógł wyciągnąć ten lud Boży z kałuży, w któréj ugrzęzł, by dźwignąć go z jego poniżenia i powrócić mu święte prawa ludzkości! Chcę zostać milionerem, żeby raz już skruszyć tę żelazną kratę, oddzielającą nas od Chrześcijan, zmusić ich do przyjęcia nas za obywateli kraju w ogólnym spisie narodu; by nam wolno było, myśleć i wierzyć wedle naszego sumienia i przekonania, a mimo to, żebyśmy się sami poczuli godnemi obywatelami téj ziemi, na któréj się urodziliśmy.

Taki to, jak widzicie, uczyniłem ślub u wejścia do naszego ubogiego miasta! Będę milionerem, dla dobra mojego ludu!!!... i dotrzymam mojéj przysięgi. Pracą i oszczędnością zebrałem już sobie niewielki kapitalik, znosiłem głód i niedostatek dla spełnienia mego wielkiego celu;—mały ten kapitał musi się powiększyć, żebym mógł działać na własną rękę. Nie pozwalałem sobie ani chwili spoczynku, nie używałem, jak inni żadnéj przyjemności. Powróciwszy wieczorem z biura, niezapragnąłem innéj rozrywki jak pogawędzić godzinkę z wami ojcze Boruch i z tobą siostro Gudulo, poczem śpiesznie wracałem do mojéj izdebki, żeby przepędzić noc nad uporządkowywaniem ksiąg rachunkowych, powierzonych mi przez innych negocjantów. W zimie, marzłem, latem cierpiałem nieznośny upał; często ze zmęczenia siły mnie opuszczały, nieraz byłem głodny, ale nieustannie pracowałem nad powiększeniem mego kapitału; starałem się wszystko przezwyciężyć, bacząc na przyszłość, chociaż teraźniejszość dość była smutną. A teraz, mówił dalej Mayer Anzelm głosem podniesionym z błyszczącemi oczyma, teraz, kiedy mi się zdarza sposobność dojścia prędzéj do mojego celu, gdy mogę jednym stanowczym krokiem przeskoczyć, skrócić te lata nędzy i niedostatku, odrazu zostać bogatym, milionerem, wybawić mój lud, powiedzcie sami, czy mam tego zaniechać i porzucić tak zręczną sposobność?

Stary Boruch milczał i zamyślony spoglądał na swoją córkę; Gudula dawno upuściła robotę na kolana i z rozjaśnioną twarzą i promieniejącem okiem, przysłuchiwała się mowie młodego człowieka. Po ostatniem zadanem przez niego zapytaniu, zwolna podniosła się z miejsca, zbliżyła się do niego i w uroczystéj postawie, z anielskim uśmiechem, wpatrując się w jego oblicze, położyła swą białą rączkę na jego ramieniu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dodatek do Zeszytu XIII, Kółka Domowego 1867.



Piesek do wycierania piór.

Osoby zręczne potrafią sobie bezwątpienia, według nakreślonych na dodanéj tablicy rysunku form, zrobić figurę tak, żeby była do pieska podobną. Nie wiele większy być powinien od wzoru, który dajemy powyżéj, zwracamy tylko uwagę, że między formami nie ma części spodniéj czyli brzucha i że trzeba ją wyciąć według formy części zwierzchniéj. Głowa robi się osobno i przyszywa do korpusu, wszystko zaś wypycha się mocno otrębami lub watą i pokrywa czarnym wełnianym pluszem, potem przyszywają się uszy, ogon i łapki, które się nie wypychają. Tam gdzie głowa z korpusem spojona należy położyć obróżkę z czerwonago sukna, malutki kawałeczek tego sukna włożyć w miejsce języczka; nos naśladuje się czarnym lakiem, a oczy perełkami. Na podstawę kraje się 8 owalne kawałki sukna nierównéj wielkości, które mają służyć do obcierania piór, na wierzchu pod samym pieskiem kładzie się najmniejszy płatek sukna czerwonego, wyciętego w ząbki, między zaś czerwonym a inuemi kawałkami sukna, kładzie się kawałek tektury dla utrzymania całości.

Tablica deseni.

Ner 1. Róg do chustki od nosa; atłaskiem lub sznureczkiem.

Nera 2, 3, 4, 5, Szlaki do wyszycia sutaszem, z ozdobami z kordonkowego jedwabiu ściegiem ościowym, jak *Ner* 2, sieczką drobną, jak *Ner 4.* i paciorkami, jak *Ner* 5.

Nera 6. i 7. Mankiet i kołnierzyk—haft na płótnie.

Nra 8 do 13. Formy na pieska do obcierania pióra: *Ner* 8. korpus; *Ner. 9.* wierzch nosa; *Ner 10.* ucho; *Ner. 11.* szyja i głowa; *Ner. 12.* ogon; *Ner. 13.* łapka.

Ner 14. Litery E. B. w guście renaissance.

Nera 15, 16, 28, 29, 30, 31, 32, 33, Litery.

Ner 17. Bucik dziecinny. Zaczyna się od noska na któren zrobić łańcuszek z 9 oczek złożony, zawrócić i z czterech oczek łańcuszka wyciągnąć zwyczajnym sposobem cztery pętelki, z piątego wyciągnąć dwie pętelki, cztery pozostałe zrobić jak cztery pier-

wsze. Tak robić daléj, wyciągając zawsze ze środkowego oczka po dwie pętelki, lecz szydełko wkładać trzeba w łańcuszek zewnętrzny, to jest nie od strony dużego palca. Gdy będzie pasków 11 czyli 22 rzędy, robi się już tylko 15 pętelek na 15 oczkach, i tak aż do 8 pasków. Tu urwać nitkę i zacząć na piętnastu zostawionych oczkach, gdy znów 8 pasków zrobione, połączyć te dwa boczki spojeniem. Wykroić zgrabną podeszewkę i podług niéj zrobić ściegiem tunizeńskim z włóczki białęj lub czarnéj, i tę poszyć lub spoić z bucikiem; daléj obrobić na cholewkę dwa rzędy, raz ażurkiem do koła na nawleczenie, znów dwa gładkie rzędy, ząbeczki mat. Sznureczek należytéj długości upleść z włóczki i przyszyć po nawleczeniu do obudwóch końców kutasiki.

Nera 18 i *19*. Mankiet i kołnierzyk płócienny, deseń rzadkiem dzierganiem tak dziś używanem.

Nera 20 21 i 22. Litery mniejsze i większe nazwane: fantazja Chińska.

Nera 23 i *24*. Deseń na pantofelki wzór całkowity. Robi się deseń na skórce koloru naturalnego, sznureczkiem jedwabnym tegoż koloru; kwiatki jedwabiami tegoż koloru, listki ciemniejsze a kwiatki jaśniejsze od skóry.

Ner 25. Sliniczek z piki, wyszycie sutaszem białym, wszewki kluny lub gipiurowe, podwleczone kolorowo.

Nera 26 i 27. Wszewki na kolorowych przedmiotach, wyszycia sutaszem i jedwabiem grubym, ściegiem dzierganym i długim.

O UBIORACH.

W magazynie pani Włodkowskiéj oglądaliśmy pełne wdzięku stroje przygotowane na przyjęcia, spowodowane zawartem w tych czasach małżeństwem. Pragnęliśmy opisać ich najbardziéj obrazowo naszym czytelniczkom, tym szczególniéj które lubią opisy balowych strojów, wtedy nawet kiedy w nich nie uczestniczą, ale jak tu opisać suknie, których główna piękność leży w pełnym smaku ubraniu ich, przypięciu kwiatów, wstążek i koronki. Materjały użyte są zawsze jedne: tarlatan lub tiul jedwabny, a pod spód jedwabna materja, ale co za rozmaitość wystrojeń i gust w ich układzie. Suknia jasno zielona jedwabna, z tego koloru co jak najpiękniejszy błękit wydaje się przy świetle, miała u samego dołu plisę z białego jedwabnego tiulu, ułożoną w kontrafałdy z wypuszczeniem od góry. Taka sama biała tiulowa tunika, spadała od stanu, zakończona riuszą i podwójnie przemarszczana w pewnych odstępach od góry do dołu, tworząc tym samym podłużne bufy, których środek, nie wznosząc się, a zwieszając ku dołowi, rysował pewien rodzaj mglistych zębów. Na dolnéj plisie i pomiędzy przemarszczeniami tuniki, ukazywały się tu i owdzie przypinane róże blado żółte, prawie szamoa, z ciemnemi liściami, z muszkami zielonemi, lśniącemi, co na niektórych kwiatach osiadły. Na staniku wyciętym do gorsu i z krótkiemi rękawami, suknia ta miała oryginalną ozdobę, która jednak dobrze wyglądała na osobie wysokiego wzrostu, poważnéj choć młodéj, która nie miała tańczyć. Z tyłu stanika pomiędzy łopatkami była wpięta największa z róż z liściami i pączkami, a od niéj zwieszały się dwa na półtoréj ćwierci szerokie końce, z téj saméj co suknia materji i z ząbkami wybijanemi po bokach, i dochodziły do połowy spódnicy, kryjąc talję i tworząc rodzaj wyciętego szlafroka z czasów Ludwika XV.

Druga suknia biała tarlatanowa, naszyta była w podobneż bufy podłużne, obwisłe ku dołowi, z białego jedwabnego tiulu, pomiędzy niemi zaś w pewnych odstępach wpinane były pęki habrów i kłosów, z prawego zaś boku, w połowie długości spódnicy rozpięto olbrzymią kokardę ciemno nie-

bieską z wstążki tak szerokiéj jak na szarfy, z dłuższym końcem spadającym na dół, a krótszym idącym w górę. Kokarda ta przy opowiadaniu zdaje się dziwactwem, w całości ubrania jednak miała swoje znaczenie, nadawała bowiem wyraz pompatyczny sukni, nieco mdłéj ze swoim drobnym, kwiecistym rzucikiem.

Nie mniéj piękną była suknia blado żółta (maïs) z tuniką z jedwabnego tiulu, obszyta koronką szeroką, u dołu zaś mająca wyszyty szlak grecki z takiegoż tiulu riuszami. Blado żółte róże, z połyskliwemi liśćmi ciemno brązowego koloru, zwieszały się po tunice wieńcami, to znów między zębami greckiego szlaku pokazywały się pojedynczo. Pęk takich róż spinał z przodu bertę fałdowaną i przedłużał się w wieniec aż do prawego ramienia; na lewem nie było już kwiatów. Nie potrzebujemy, zdaje się objaśniać, jak liście ciemne powabnie odbijały od świetnego tła sukni.

Była jeszcze suknia z białego *poult de soie* ubrana po nad obrębem riuszami czyli, jak to dawniéj mówiono, szczoteczkami z jedwabnego tiulu, naszytemi w festony, których było ośm, w każdem zaś ich zagłębieniu pokazywała się róża różowa z liśćmi zielonemi i narcyzem. Splot róż i narcyzów szedł po boku od przodu ku dołowi, na tunice utworzonéj z koronki.

Było jeszcze kilka świeżutkich sukien białych. Jedna ubrana makami i kłosami, druga chmielem, trzecia rodzajem łańcucha ze wstążki blado żółtéj idącym od paska na bok ku dołowi, w każdem zaś ogniwie łańcucha wpiętą była blado-żółta róża.

Z sukien do zwyczajnego ubrania na ranną wizytę lub przechadzkę, musimy przytoczyć jedną śliczniutką z białéj alpagi, włożonéj na niebieską jedwabną spódniczkę, przez co alpaga traciła kolor żółtawy właściwy wyrobom wełnianym. Spódniczka niebieska była zupełnie gładka, naszyta tylko powyżéj obrębu sutaszem niby wypustką, zwierzchnia zaś biała składała się z bryta przedniego podpiętego po dwóch bokach kilkoma fałdami do dwóch tak wązkich bryców, że je tylko szarfami nazwać można, ścięte też były u dołu w trzy kanty jak końce krawatki, a od każdego rogu zwieszał się niebieski kutasik. Część tylna spódnicy była również przyszyta fałdami do tych szarf, razem zaś z poprzednią obszyte były u dołu plisami niebieskiemi, równemi od góry, a wyciętemi w okrągłe zęby u dołu. Po nad temi plisami, szerokiemi na trzy lub cztery palce, szły dwie insze gładkie, wąskie na palec. Podobnież ogarnirowany był paletocik puszczony, a podszyty cały niebiesko.

PRZEPISY OGRODNICZE.

18. Zamierzając przesadzać rośliny, potrzeba zasięgać rady znającego się ogrodnika, jaki gatunek ziemi użytym być powinien dla każdego rodzaju kwiatów. Trafia się, że częstokroć z trudnością przychodzi wydostać z naczyń rośliny, szczególniéj mocno zakorzenione i dawno nie przesadzane. W takim czasie, nie należy wyjmować onych przez siłę, oburącz ująwszy roślinę potrzeba przewrócić takową ku ziemi. Gdyby i wtedy jeszcze wyjść nie chciała, to z lekka uderzać po naczyniu, dopóki się nie wysunie. Można też długim nożem oberżnąć ziemię do koła, przy samych ścianach naczynia, a wtedy wydostanie rośliny z łatwością nastąpi.

19. Przy przesadzaniu większych roślin oranżeryjnych, przewracanie naczynia częstokroć jest niepodobnem do wykonania, tutaj więc ograniczyć się potrzeba na zwyczajnem, powolnem i ostrożnem wydostawaniu z kadzi lub skrzyń. Następnie zrośnięte w kształcie sieci korzenie, na zewnętrznych ścianach ziemnéj bryły, osobliwie zaś od dna naczynia, należy poobrzynać i umieścić tak opatrzoną roślinę w inne, nieco większe naczynia. Jeśli przesadzane rośliny nie znoszą zbytecznéj wilgoci, potrzeba na spodzie naczynia umieścić kilka kamyków 2 calowéj najwyżéj wielkości, dla ułatwienia odpływu wody. Zwykle otwory w dnach naczyń, zakrywają się skorupkami rakowcmi, czerepkami i t. p., dla tego, aby osiadająca się ziemia nie zatykała onych. Po przesadzaniu, próżna przestrzeń wypełnia się dobrą ziemią jakiéj nieco i na dnie umieścić pierwéj potrzeba, a po dokładnem do koła odciśnięciu ręką lub drewienkiem, dopiero podlewać.

20. Niektóre rośliny chorują lub giną zupełnie, jeżeli będą przesadzone w większe naczynia napełnione ziemią zawierającą w sobie nadmian soków pożywnych, przechodzący możność zabsorbowania takowych przez korzenie. Zbyteczna wtedy wilgoć, stan chorobliwy bardziéj jeszcze powiększa, przyspieszając śmierć. Skoro się dostrzeże, iż przesadzona roślina cierpi, potrzeba ją bezwłocznie napowrót wyjąć, poobrzynać uszkodzone korzenie i umieścić w mniejszem naczyniu.

Pielęgnowane według wyżéj podanych przepisów rośliny, odznaczać się będą rozkoszną zielenią liści i pięknością kwiatów, ożywiając nasze mieszkania, szczególniéj w porze zimowéj.

A. K. Stelmasiewicz.

PRZEPISY KUCHENNE.

Ozór wołowy.

Umyć ozór w wodzie solonéj, oczyściwszy go ze wszystkich części niepotrzebnych, potem natrzeć go mieszaniną z 3 łyżeczek soli kuchennéj, jednéj łyżeczki saletry i 2 łyżeczki mączki cukrowéj. Niech tak natarty ozór leży 3 lub 4 dni a w zimie nawet dłużéj, tylko go codzień przewracać trzeba; po upływie tego czasu wyjąć, umyć w wodzie zimnéj i nalawszy także zimną wodą gotować wolno, szumując ciągle. Skoro będzie podgotowany zdjąć z niego skórę starannie. Tymczasem wziąść kości wołowych, nastawić z kawałkiem słoniny, dodawszy parę marchwi pokrajanych w plasterki, cebulę, pieprzu i soli bardzo mało, ponieważ ozór już jest solony. Niech się to gotuje zwolna bez nakrywania rądla. Gdy się z tego dobry otrzyma rosół należy włożyć doń ozór dodawszy parę szalotek, kawałek selera i pietruszki, nakryć i gotować bardzo wolno na małym ogniu. Gdy się wygotowywać będzie, dodawać tego rosołu w którym się ozór gotował, a gdyby był za słony rozrabiać go wodą. Gdy ozór dojdzie do miękkości wyjąć go, a pozostałość przecedzić przez sito i zapalić mąką i masłem. Chcąc sos ten uczynić jeszcze smaczniejszym można dodać trufli i pieczarków smażonych w maśle.
